

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie	
Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	8.--
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

Od Administracji.

Sz. Prenumeratorów upraszamy o odnowienie przedpłaty na rok 1913.

Skromne żądanie.

Duma czwartego powołania rozpoczęła swą sesję poświęconą.

Fakt ten przeszedł w prasie bez większego wrażenia. Poświęcili mu pisma artykuły raczej z obowiązku dziennikarskiego, bynajmniej zaś nie z poczucia doniosłości rozpoczynającej się pracy „parlamentarnej.“

Publiczność czytająca dawno już przestała się interesować rubryką: z Dumy i Rady Państwa, wiedząc z góry, że nic tam ciekawego nie znajdzie, prócz efektownych zapowiedzi interpelacji, które żadnego skutku nie odniosą oraz pięknie brzmiących programów frakcyjnych, które nigdy w życie wcielone nie będą. Sprawozdaniom zaś z posiedzeń Dumy odebrał wszelki urok Puriszkiewicz, zachowujący się od dłuższego czasu z zadziwiającą powściągliwością.

Nawet sami posłowie nie przywiązują najmocniej do swej działalności większego znaczenia, skoro na otwarciu sesji stawiała się ich zaledwie połowa.

Dziwnie apatyczny nastrój płynie dziś z pałacu Taurydzkiego.

Być może, wrażenie to się otrzymuje na skutek zestawienia nikłej roli przedstawicielstwa rosyjskiego z doniosłymi przeobrażeniami, jakie zachodzą na widowni międzynarodowej, boć teoretycznie rzecz biorąc, przed Dumą obecnie otwiera się rozległe pole działania.

Prezes rady ministrów zapowiedział przystąpienie do urzeczywistnienia fundamentalnych praw każdego ustroju konstytucyjnego, wspominając — w formie dość ogólnikowej wprawdzie — o tolerancji religijnej, o nietykalności osobistej, o stanach wyjątko-

wych, o wolności słowa, o stowarzyszeniach i związkach i t. p.

Duma stoi także na tem stanowisku, że wspomniane akty prawodawcze stanowią najpilniejszą potrzebę państwową. Wyraża to uchwała, która zapadła po rozprawach nad deklaracją, stwierdzając stare życzenie, aby rząd jaknajrychlej przystąpił do wcielenia w życie zasad manifestu październikowego.

Zdawałoby się więc, że nic nie przeszkadza wspólnej pracy rządu i Izby w zakresie tych chociażby stycznych punktów, które się odnalazły między powyższymi dwoma czynnikami życia państwowego.

Nikt jednak nie wierzy, aby rząd na serjo myślał o przeprowadzeniu reform i nikt też na obietnicach p. Kokowcowa nie myśli opierać swych rachub i nadziei. W tem przeświadczeniu właśnie tkwi źródło obojętności i apatii, sztucznie maskowanej frazeologią opozycyjną i komicznymi wprost usiłowaniami zachowania *bonne mine*.

Nie należy przytem zapominać, iż na drodze szukania punktów stycznych między rządem a Dumą stoi jeszcze Rada Państwa.

Ubiegłe pięciolecie prawodawcze odznaczało się stałym zatargiem między obu izbami. Czy dziś sytuacja ulegnie zmianie na lepsze? Nic tej zmiany nie zapowiada. Duma obecna przesunęła się nieco ku lewicy, Rada ma nieco silniejsze, niż poprzednie, skrzydło prawe. Przeciwiństwa więc zaostrzyły się jeszcze bardziej. O znalezieniu „wspólnego języka“ niema mowy.

Wszystko to czyni istnienie Dumy zgoła bezbarwnem i pozbawionem wszelkiej żywej treści. Już po rozwiązaniu drugiej Dumy stało się widocznym, że przedstawicielstwo rosyjskie nie stanowi żadnej realnej siły i jest tylko fikcją parlamentu, jako instytucji prawodawczej. Łudzono się jeno, że długoletniem swem funkcjonowaniem utrwali w społeczeństwie przywiązanie do ustroju reprezentacyjnego i będzie widocznym znakiem granicznym pomiędzy dwiema epokami państwa Rosyjskiego.

Opozycja widziała również w trybunie dumskiej doskonały środek do uświadamiania mas i pobudzania ich do życia obywatelskiego.

Na razie przewidywania te nie były pozbawione słuszności. Nowość budziła ogólne zaciekawienie

i niewątpliwie wpływ swój wywierała. Z czasem jednak otrzaskano się z nią i wrażliwość społeczeństwa przytępiła się. Jalowość rozpraw nudziła, cynizm zaś większości sprawiał obrzydzenie. W końcu, unikając przykrego a bezcelowego szarpania nerwów, organizm społeczny instynktownie zdobył się na środek odporny, uzbrajając się w doskonały indyferentyzm i płynącą stąd rezygnację.

Jedynie ludność „obcoplemienna“ nie mogła i nie może przejść do porządku dziennego nad robotą „parlamentu“ rosyjskiego. Nie oczekuje ona oczywiście odeń żadnych ulg ani poprawy swego losu, ale zmuszoną jest stale wyteżać bacznie swą uwagę ku temu, co się dzieje w pałacu Taurydzkim, gdyż nie ma żadnej pewności, azali nie spadną na nią stamtąd nowe ograniczenia, azali nie urodzą się w tych ścianach nowe pomysły ku jej utraeniu a zadowoleniu karierowiczów kresowych, robiących doskonale interesy na dopingowaniu uczuć szowinistycznych społeczeństwa rosyjskiego za pomocą podburzających przemówień dumskich.

Zdaje się jednak, że czwarta Duma pod względem zapału nacjonalistycznego ustępuje znacznie swej poprzedniczce. Przystanie więc być może odegrywać i tę jedyną rolę straszaka, do której może poczuwać się na siłach. Innych złudzeń chyba sama nawet nie żywi.

Oby była nieszkodliwą — oto jedyna pretensja, którą ma względem niej społeczeństwo. O pożytku i rezultatach pozytywnych jej działalności nikt rozsądny marzyć nie może. Natomiast robota destrukcyjna i negatywna nie jest bynajmniej wyłączona. Dlatego też musimy pragnąć, aby ów nastrój senny, stwierdzony przez rozmaitych korespondentów petersburskich, trwał jak — najdłużej i nie ustępował miejsca zbytcej żarliwości w sprawach, nas dotyczących.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że żądanie nasze jest nader skromne i nie trudne do spełnienia.

Novus.

▷○○○○○○○○◁

ESTEDE.

Z wędrówek mimowolnego turysty.

(Fragment).

Wczesnym rankiem do celi naszej wszedł starszy strażnik.

— No, panowie, zabierajcie wasze manatki, podwody czekają, im wcześniej wyjedziecie, tem lepiej dla was, kawał drogi macie przed sobą.

Pakuje do worka moje ruchomości i wraz z towarzyszami wychodzę na podwórze.

— Słyszeliście—zwraca się do mnie towarzysz— „panowie“ powiedział, dawno już nas tak nie tytułowano. Konstytucję ogłosili, czy co?

Pożegnanie z więzieniem trwało krótko, strażnik odczytuje nazwiska i bez dalszych ceremonji brama otwiera się i wychodzimy na ulicę.

Nareszcie! skończyły się etapy, skończyły się ciągle rewizje i czuła opieka konwoju!

O „Kulturę Polską“.

Od jednego z wybitnych publicystów warszawskiego otrzymujemy poniższe uwagi na temat głośnego rozłamu w T-wie Kultury Polskiej. Głos ten, nacechowany spokojem, chociaż nie pozbawiony pewnej dozy goryczy, rzuca światło dostateczne na niezrozumiałe dla wielu z nas zajście. Zaleca go nieposzlakowane polskie uczucie obywatelskie oraz usiłowanie zajęcia stanowiska obiektywnego, górującego nad roznamiętnieniem, panującym obecnie w warszawskim obozie postępowym.

Podczas koronacyjnych uroczystości w Anglii dotąd trwa prastary zwyczaj, polegający na tem, że rycerz królewski, zbrojny w całą straszliwość średniowiecznych blach i pióropuszków, wywołuje z piorunowym gniewem i wyzywa na bój każdego, ktoby się ośmielił przeczyć, że koronowany monarcha jest prawym królem Anglii.

Kiedys może byli tacy, którzy się ośmielali zaprzeczać, ale kości ich dawno już spróchniały, przeszły stulecia, a rycerz ciągle z tą samą pompą, dziś już tylko dla tego nie śmieszna, że nikt jej na serjo nie bierze, woła: „Wychodź każdy, kto zaprzecza praw monarsze, niech roztrzaskam twój zuchwały łeb“. Nikt nie wychodzi, rycerz wraca do domu, składa zbroję i stroje do muzeum; śpią tam spokojnie, aż póki nowego króla koronacja nie zbudzi ich na żywot krótki, choć buńczuczny.

Są ludzie, którym się zdaje, że obowiązkiem ich jest być takimi rycerzami angielskiego króla, pod jakąkolwiek się on im objawi postacią, i którzy biorą, — albo przynajmniej udają, że biorą, — rolę swoją na serjo.

A wtedy dzieją się rzeczy i smutne i śmieszne. Widownią takiego turnieju o honor angielskiego króla było (i jest jeszcze) Towarzystwo Kultury Polskiej, podczas ostatecznego zebrania ogólnego delegatów.

Tow. Kultury Polskiej liczy około 6000 członków z rozmaitych sfer społecznych i w rozmaitych miejscowościach kraju trzydzieści kilka oddziałów, z których każdy prowadzi w miarę sił poważną pracę kulturalną i oświatową, jest zatem instytucją społecznie doniosłą, której normalny rozwój

Pozostały jeszcze chałaty z czerwonymi tuzami na plecach, pozostały ślady na rękach od parutygodniowego noszenia „naruczników“; ale władze więzienne nie mają już do nas pretensji, jesteśmy na wolności!

Siadamy na oczekujące nas wozy i pod eskortą dwóch strażników ruszamy.

Pogoda przesłiczna, dzień zapowiada się gorący, syberyjski lipiec wcale nie ustępuje „przywiliśniskiemu“.

Szybko mijamy nędzne uliczki powiatowej miejsciny, przepławiamy się promem przez jakąś rzekę i po chwili wjeżdżamy w las.

Humory turystów świetne, trzynastu osiedleńców wchodzących w skład „partji“ reprezentowało razem około trzydziestu lat różnej kategorii więzienia, nic więc dziwnego, że opuściwszy aż nazbyt gościnne mury, daliśmy folgę szalonej, rozhułkanej wesołości.

Nikt prawie nie został na trzesących zresztą niemilosierdzie telegach. Na trawę! w las! dawno już nie było do tego sposobności.

To nie półgodzinny spacer więzienny po brudnym i niezbyt woniejącym podwórku, tu bujna, zie-

i trwanie powinno stanowić troskę każdego jej członka. Ciekawi znajdują szczegóły w sprawozdaniach rzeczowych Towarzystwa i oddziałów, więc się w to nie zagłębiam, przechodzę wprost do punktu głównego, do kości niezgody.

Kiedy się w ciągu ubiegłej jesieni pod wpływem przemożnym walki wyborczej i jej wyników rozgorzał ruch antysemicki w Warszawie i w całym zresztą Królestwie Polskim, ruch, który ma obecnie specyficzny charakter, bo został połączony z hasłami bezwzględnie dodatnimi, jak tworzenie kooperatyw, — jak polszenie miast i t. p., — ruch ten nie pozostał w sferze polityczno-społecznej tylko, ale się począł wiskać do sfery uczuciowej człowieka, rodząc zupełnie zbyteczne zacieranie, rozbudzając namiętności, grożąc opanowaniem placówek, których dziewiczość jest ich warunkiem istnienia.

Placówką taką było i powinno być pozostać Tow. Kultury Polskiej.

Nie tylko żydowski sklepikarz i nacjonalistyczny czytelnik „Hajnta“ jest wrogiem interesów polskich, mają one wrogów innych i gdybyśmy chcieli wrogów tych wyliczać, zaprowadziło by to nas za daleko.

Bądź co bądź Towarzystwo Kultury Polskiej, które postawiło sobie za zadanie wytknięte od razu w § 1 ustawy szerzenie kultury narodu polskiego, w oczach wielu swych członków powinno być nieść wielką, trwałą, nieprzerwaną narodowi polskiemu i jego kulturze służbę, zdobywać, stwarzać trwałe wartości kulturalne, a stąd uciekać najdalej od wszelkich odgłosów walki wyborczej, czy innej, od wyliczania wrogów i t. p.

Tymczasem ten uczuciowo już zabarwiony nastrój antysemicki nie mógł pozostać poza granicami dyskusji w Towarzystwie i oto nastąpiła niefortunna w założeniu uchwała sekcji etycznej, będąca oddźwiękiem tych walk poza Towarzystwem.

Nazywam ją niefortunną, jakkolwiek w jej sformułowaniu niema nic, z czem by się można zasadniczo spierać. Niefortunność jej płynie stąd, że jest ona najzupełniej zbyteczna i najzupełniej nie na czasie.

O tem, że Tow. Kultury Polskiej jest i musi być polskiem nikt nigdy nie wątpił; tego aby miasta polskie stały się polskimi, każdy polak chceć musi. Dlaczegoż przypominano to teraz? Czy zaszyły jakie wypadki, któreby wymagały ta kiego przypomniać? Jeśli tak, należało by je wytknąć, wskazać, napiętnować.

Wypadki te jednak były poza Towarzystwem Kultury Polskiej, poza sferą jego działalności, wypadki te to: rezultat walki wyborczej do Dumy państwowej, to wzrastająca fala wrogich sobie nacjonalizmów, to agitacja pewnych organów prasy i stronnictw politycznych. Część Tow. Kultury Polskiej uległa prądowi.

Że prądowi uległa grupa znaczna ludzi szarych, bez fizjonomji, ludzi bez nazwisk i bez działalności społecznej, dziwić się trudno, prąd był silny, zahaczał o sprawy żywotne, codzienne, poruszał kwestje doniosłe i proponował rozwiązanie nieskomplikowane, łechtał miłość własną, poruszał strony uczuciowe, czasami zawierał w sobie obietnicę zysku. Nie będę tu rozważał znaczenia społecznego hasła bojkotowych w stosunku do żydów, jakkolwiek zdaje mi się, że pochłaniają one istotnie zbyt wiele sił narodu, które należałoby może skoncentrować na innych polach, ale niezależnie od wszelkiej krytyki, chodzi mi o skonstatowanie faktu, że prąd ten ogarnął poważną ilościowo grupę szarych członków Towarzystwa i że stać się to musiało.

Nie o tę grupę jednak chodzi, nie chodzi także o paru „polityków“ in partibus infidelium w rodzaju p. Łypacewicza i innych jego towarzyszków ze Zjednoczenia Postępowego, nie chodzi o warchołów i krzykaczy w rodzaju p. Niemojewskiego (temu ostatniemu zresztą należałyby się bardziej jaskrawe epitety). — chodzi jednak o Aleksandra Świętochowskiego.

Na zebraniu delegatów T. K. P. Aleksander Świętochowski kategorycznie żądał, aby zebrani uchwalili wnioski dotyczące polskości stowarzyszenia i miast grożąc, że w przeciwnym razie on, twórca T.K.P. to własne dziecko zabije, „zamknie Kulturę Polską w historii“ i t. d.

Jeżeli można lekceważyć wszystkie inne głosy

lona murawa zastępuje bruk, a w miejsce zaduchu więziennego mamy cudny, balsamiczny zapach sosnowego lasu.

To też biegamy jak gromada sztabaków wypuszczonych po parugodzinnej męce w klasie na „długą“ pauzę, poważni społecznicy zapominają na chwilę o wszelkich „pryncypjalnych“ kwestjach, a echo roznosi daleko po lesie wesole ich krzyki i śpiewy.

Dwaj przedstawiciele „władzy“ zachowują się zupełnie przyzwoicie, nie czynią żadnych wstrętów i nie okazują najmniejszej obawy, aby zginął który z powierzonych im pieczy podróżnych.

I słusznie: więzienne ubranie, absolutny brak monety i jakichkolwiek dokumentów dają im najzupełniejszą gwarancję, że nikt nie „zwieje“.

Właściwie rola ich ogranicza się do tego, że wiozą nasze „bumagi“ i „karmowe“ po dziesięć kopiejek dziennie na osobę. Rozmawiają tonem zwykłych śmiertelników i nie mają nawet miny generałów, jak się to nieraz zdarza stójkowemu na Złotej, lub Brackiej.

Idziemy wciąż lasem, a telegi nasze wloką się po piaszczystej drodze, ten i ów nie chcąc się przy-

znać, że odzwyczajone od długiego chodzenia nogi odmawiają posłuszeństwa, dochodzi do wniosku, że wozy są na to, aby na nich jechać. Większość jednak trzyma się nieźle, a niekierzy „odgrajązają się“ że przejdą pieszo całą przestrzeń trzystu wiorst oddzielających nas od Wydryńska; rozumie się jednak, że przechwałek tych nikt nie bierze na serjo.

Po paru godzinach takiej podróży telegi nasze sznurem zatrzymują się przed kancelarją gminną Ilańska, gdzie ma nastąpić zmiana podwód i krótki wypoczynek.

Wkrótce otacza nas tłum ciekawych, chcących z bliska przyjrzeć się groźnym dla całości państwa przestępcom.

Po chwili zjawia się kilku chłopców niosąc ogromnych rozmiarów dzbany mleka, kołaczę, bliny i inne przysmaki.

— To dla „polityków“ — objaśniają chłopcy i dodają:

— Jeżeli będzie mało, przyniesiemy jeszcze. Widocznie związek ludzi prawdziwie rosyjskich mało ma w tej miejscowości zwolenników.

Wogóle podczas całej sześciodniowej podróży

i krzyki, to głosu tego lekceważyć nie wolno. Był zatem powód, który skłaniał do postawienia tych wniosków? Nie — powodu nie było.

Nawet Świętochowski może popełnić błąd i jakkolwiek należy się z nim liczyć, nie można uważać błędów jego za rzeczy słuszne.

Cechą jest ruchów i odruchów społecznych, a takim jest niewątpliwie antysemicki prąd w Polsce w chwili obecnej, że odbywają się one wedle praw psychicznych analogicznych do tych, jakie obserwujemy w działalności tłumy. A psychologia tłumy podatna jest objawom specyficznej halucynacji. Taką zbiorową halucynacją są cuda, anioły i święci unoszące się nad polami bitew, taką zbiorową halucynacją, była trwoga przed zdrajcami ojczyzny czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, trwoga, która stwarzała giljotyne i „czerwone msze“ trybunału rewolucyjnego, dopatrywała się zdrajcy w każdym, kto świadomie, czy bezwiednie myślał, czy działał nie tak, jak się zdawało właściwem Robespierrowi; taka zbiorowa halucynacja każe mówić hakatystom niemieckim o niebezpieczeństwie polskiem; — do tej samej kategorii należy obecny ruch antysemicki w Polsce.

Nie znaczy wcale, aby zalew żydów rosyjskich, jakiemu ulega Królestwo, nie był zawadą w normalnem życiu i rozwoju społeczeństwa polskiego, owszem jest i jest przeszkodą poważną, ale stąd nie wypływa jeszcze ani to, żeby każdy człowiek o nazwisku żydowskim był wrogiem społeczeństwa i kultury polskiej, żeby każdy człowiek, który się odważy nie krzyczeć „gore“, a zwracać wysiłki swoje do spokojnego budowania przyszłości narodu, przyszłości społeczeństwa polskiego i kultury polskiej, żeby każdy taki człowiek był „pachołkiem żydowskim“ i sługą „interesów separatyzmu żydowskiego“. Krzyczą wszyscy przeciwko żydom, bo w danej chwili stali się oni straszakiem dla wielu wygodnym, tak dalece wygodnym, że nawet, dający przyjacielskie rady polakom, paryski „Temps“ nie zapomina wskazać na konieczność walki z żydami i wskazuje skwapliwie sojusznika w tej walce. Czytając te rady mimowoli przypomina się przysłowie: od przyjaciół ustrzeż mię Panie, od wrogów sam się ustrzeżę...

trzeba było zaznaczać sympatyczne zachowanie się miejscowej ludności. Z chwilą, gdy dowiedziano się we wsi, że w partji są „polityczni“, wszystko było na nasze usługi, a w wielu wypadkach włościanie nie chcieli przyjąć żadnego wynagrodzenia.

Napotykaliśmy na trudności jedynie wtedy, gdy trzeba było zmieniać konie, tłumaczy się to jednak tem, że włościanie obowiązani są dostarczać podwojdy bezpłatnie, co zwłaszcza podczas robót polnych wcale nie było im na rękę.

— Co my jesteście winni, że was tu wysyłają? — pytano nas nieraz. Argument zupełnie przekonujący, dający przytem wdzięczny temat do rozmowy.

Słabą stroną podróży były noclegi, na które zwykle przeznaczano lokale gminne.

O ile chodzi o zewnętrzny wygląd, budynki te przedstawiają się wcale przyzwoicie w porównaniu z chałupą chłopską w gubernji, dajmy na to kieleckiej, my jednak niestety nocowaliśmy wewnątrz tych domów.

Noclegowe nie były pozbawione oryginalności, mimowoli, siłą przyzwyczajenia szukało się krat w ok-

Ale to nic, krzyczą wszyscy przeciwko żydom — a kto nie krzyczy, kto się ośmieli powiedzieć, że poza tym krzykiem są inne ważniejsze rzeczy do spełnienia, ten jest zdrajca, adwokatem żydowskim, wrogiem narodu, „pół-polakiem“, „ćwierć-polakiem“ i t. d.

Niebezpieczeństwo żydowskie rośnie, olbrzymieje, zakrywa sobą wszystko inne, zakrywa sobą niesłychanej żywotności sprawy i zadania społeczne i polityczne, których wyliczać tu ani czas, ani miejsce.

Ludzie przestają mówić ze sobą zrozumiałym językiem, zatykają uszy na perswazje; wara podnosić głos, nie przeciw zasadzie samej, ale tylko przeciw jej wyłącznej doniosłości, wara, bo za tem pójdzie ze strony niedowarzonych półgłówków anonimowy list z groźbami i przekleństwami samozwańczo w imieniu polskości rzucanemi, ze strony zacietrzewionych krzykaczy dwugroszowych czy innych szereg inwektyw mniej lub więcej ślepych i bezmyślnych, a dobrze jeszcze, jeżeli jakiś nieprzebierający w środkach kalumniator nie zacznie walczyć oszczerstwem, szarpaniem dobrej sławy i t. d. i t. d., pewny bezkarności, bo grający w dudkę popłatnego hasła.

Krytycyzm zamiera. Można śledzić na samym sobie, jak się powoli zatracza zdolność oporu w stosunku do hałaśliwej zalewającej fali. Rozpoczęty od typów społecznie niższych, intelektualnie słabszych poczyna prąd taki ogarniać typy wyższe, wciągać, pochłaniać, zmuszać, aby i one poddały się pędowi tłumy. Doskonale zobrazował to zjawisko J. K. Kochanowski w pracy p. t. „Błyskawice praw dziejowych“.

Głęboko czczę Świętochowskiego. Na jego dramatach, na jego „Liberum Veto“ uczyłem się myśleć ja i całe moje pokolenie. W drabinie ludzi społecznie pożytecznych widzę go na szczeblach najwyższych. Niech nam daruje jednak mistrz, żeśmy, uczniowie, wzięli od niego tylko to, co się nam istotną wartością zdawało, żeśmy nie stali się epigonami tylko. Nie przyjęliśmy jego „Wskazań politycznych“, a może i poza politycznymi nie wszystkie wydały się nam stojącymi ponad krytyką. Zresztą, nie o to dziś chodzi, zapewne sam

nach, drzwi na klamkę tylko zamykane wydawały się również nowością, wcale nawet nie przykra, niestety jednak chwil tu spędzonych nie mogę zaliczyć do najszcześniejszych w mem życiu.

Spać trzeba było pokotem na podłodze, w tem jednak leżał tragizm sytuacji, że spać trzeba było, a nie pozwalały na to niezliczone roje wszelakiego robactwa.

Noc całą trwała nierówna walka, siły nieprzyjaciela były zda się niewyczerpane i co chwila nowe kohorty występowały do boju.

Zdaje się, że jedną z plag egipskich miało być robactwo. Spoczywające po różnych muzeach mumje mogłyby dużo w tej kwestji powiedzieć; nie więcej jednak ucierpiały one za życia, niż my podczas tych nie zapomnianych „snów nocy letniej“.

Zresztą, w ostatnich latach tak się u nas rozpowszechniło badanie fauny więziennej, że wystarczy gdy powiem, iż jeden chyba fort Aleksieja w czasach swej „światności“ wytrzymałby konkurencję z budynkiem, którego podwoje tak gościnnie nam otwarto.

Najdłuższa noc musi się jednak kiedyś skoń-

Aleksander Świętochowski uczynił nie jeden krok po nad siebie samego w ciągu długich i owocnych lat pracy.

Ale i tacy ludzie nie zawsze mogą pozostać w roli spokojnych kapłanów, po świętej drodze i schodach Kapitolu wstępujących ku szczytom. Zapominają czasem i tacy ludzie, że nie każde hasło popularne jest już dla tego samego potrzebne i na czasie, że może właśnie należy przypomnieć ludziom, że nie powinni się dać oczadzić frazesom takich popularnych i bezspornych haseł, a zachować całkowitą przytomność umysłu i czystość uczucia do rozstrzygnięcia stawianych przez życie zagadnień, do twórczego społecznego czynu.

Przypomnijmy sobie niedawny przykład znakomitego Momsena i jego antypolskich halucynacji.

Najwięksi ludzie, jeżeli szczególnie są to ludzie o charakterze apodyktycznym, łatwo mogą w warunkach takich, jak obecnie, ulec ogólnej hypnozie. A wtedy gotowi powiedzieć, jak Świętochowski: „Ja zamknę Kulturę Polską w historii“.

A przecież Świętochowski wie, że to tylko frazes, że on Kultury Polskiej w historii nie zamknie, bo on sam jest tylko jej epizodem, — jakkolwiek wielkie dla niej położył zasługi. Dzisiaj wydało mu się, że jest rzeczą konieczną stanąć w obronie zagrożonej polskości, że grozi tej polskości garść ludzi, którzy nie mniej gorąco ukochali polskość niż on sam i niemniej gorąco pragnęliby swoją w miarę sił służbę tej umiłowanej złożyć.

I nie chodzi o słowa i cześć przechwałki. Nie od dziś i nie od wczoraj idą ci ludzie z pługami swemi po roli życia polskiego, orzą i sieją, jak umieją i mogą; jeśli pszenica ich zbiorów nie jest tak bujna, jak w Świętochowskiego śpichrze, to nie wola złej woli, może siły słabsze, ale wysiłek i pracy nieustanność i zapał i wiara nie mniejsze.

I nie raz jeszcze mimo zapowiedzi Świętochowskiego, że odejdzie i zamknie Towarzystwo, nie raz jeszcze będą się musieli spotkać ze sobą. Tu, czy gdzieindziej, ciągle się wszak ci sami ludzie spotykać i spierać muszą. I znowu może spotkanie to wykaże istotne różnice poglądów,

czyż, tem bardziej noc lipcowa. Z radością witamy wschód słońca i siadamy na wozy, a raczej ostrożnie układamy na nich niedojedzone szczątki doczesnej powłoki.

Zaspani i zmordowani całonocną walką ruszamy w błogiem przeświadczeniu, że przynajmniej następnego noclegu będziemy wolni od naszych prześladowców.

Równie mądre jak niezbadane wyroki Opatrzności chciały jednak inaczej, wkrótce mieliśmy się przekonać, że widocznie było nam sądzonem służyć za pokarm dla wszelkiego rodzaju pełzających, skaczących i latających owadów.

Droga prowadziła przez tajgę (kto nie wie czem jest tajga, ten niechaj zajrzy do encyklopedji) i nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakie nam zgotowali jej mieszkańcy.

Niezliczona moc ptactwa i przeróżne, od czasu do czasu spotykane czworonogi zachowały wobec nas ścisłą neutralność, nie można jednak tego powiedzieć o rojach komarów, a zwłaszcza o maleńkiej, nie większej od łebka od szpilki muszce, którą dostawała się literalnie wszędzie, nawet w najmniej dostępne zdawałoby się miejsca.

będzie polem sporu. Ale będzie niewątpliwie polem służby znowu tej samej idei polskiej, jak było dotąd, jak jest dziś.

Jakże to niesłychanie łatwo korzystając z powszechnego zaślepienia, z otumanienia chwilowego lub poddawszy się jemu odsadzić ludzi, którzy myślą inaczej, niż my, od praw i czei. Jak łatwo stawać się bohaterem w obronie angielskiego króla, któremu nikt praw nie zaprzecza, jak łatwo zwyciężać, jeśli się przeciw sobie ma tylko owoc własnej wyobraźni. I jak łatwo czynić krzywdę ludziom dobierając wyzwick przeciwko nim tylko dla tego, że nasze własne zaślepienie nie pozwala nam ochłonać, nie pozwala być sobą, nie pozwala przypomnieć, że nie tak to dawne czasy, kiedy w ten sam lub bardzo pokrewny sposób nas krzywdzono, tylko dla tego, że popularne hasła nie wydawały się nam bezwzględna i nienaruszalną prawdą.

Konkretnie spór w T. K. P. wyglądał tak: delegaci centrali postawili wniosek o tem, że do towarzystwa mogą należeć tylko polacy bez różnicy wyznania i pochodzenia i o tem, że miasta polskie winny być spolszczone. Przypuszczam, że wnioski te nie zawierały w sobie nic więcej ponad to, co z ich ścisłego brzmienia wypływa.

„Opozycja“ większością kilku głosów postanowiła zdjąć te wnioski z porządku dziennego, motywując to zdjęcie między innymi tem, że są one wobec wyraźnego brzmienia ustawy zbyt czyste, a w obecnej chwili do dyskusowania nie odpowiednio, gdyż zahaczając o zagadnienia charakteru politycznego wprowadzić mogą nie pożądany i szkodliwy dla pracy kulturalnej rozdźwięk do stowarzyszenia. Mówcy „opozycji“ uzasadniając zdjęcie wniosków z porządku dziennego mówili, że przeciwko ich istocie występować nie mają zamiaru, że tylko czas i miejsce nie wydaje im się odpowiednio do analizowania i komentowania tych haseł, które mimo swojej niesporności w zasadzie, budzą szereg nieporozumień, gdy chodzi np. o sposoby, jakimi do spolszczenia miast dążyć należy, albo probierze do określania polskości, którą już próbowano mierzyć na „połowy“ i „ćwierci“.

Czasami układ stosunków społecznych jest

Skąd w tak małym lichu bierze się tyle złośliwości, nie wiem, napróżno również łamałem sobie głowę czem żyły te stworzenia, zanim pewną kategorię ludzi zaczęto posyłać w „miejsca bardziej oddalone“.

Być może, że uda się kiedy jakiemu niemieckiemu statystykowi obliczyć, ile muszek wypada na kwadratowy sążeń tajgi, co do mnie, twierdzą z całą stanowczością, iż jest ich znacznie więcej niż potrzeba, aby człowieka zupełnie zniechęcić do życia.

Nagle krajobraz zmienił się zupełnie, znikła bujna zieloność, po obu stronach drogi ziemia była pokryta popiołem i zwęglonemi gałęziami drzew, nagie, opalone pnie wskazywały, że przeszedł tędy pożar, częsty gość tajgi.

Powoli wlokła się nasza karawana przez to cmentarzysko puszczy, słońce dopiekało nielitościwie, kopyta końskie wzbijały w powietrze tumany pyłu, który przedostawał się wszędzie i pokrywał grubą warstwą ludzi, wozy i konie, a utrapiona muszka nie odstępowała nas ani na chwilę.

W milczeniu posuwałam się na północ, znikła bez śladu dawna wesołość, ponury krajobraz wywarł przygnębiające wrażenie na wszystkich.

taki, że niesporne prawdy dają pole do nieporozumień, a to się dzieje wówczas, kiedy się stają one parawanami dla dążeń i celów ubocznych; tak było i tutaj.

A kiedy ongi młody pozytywista z zapalem i gniewem potępiał starych romantyków i marzycieli, to nie dlatego, żeby ci albo tamci byli wrogami polskości, tylko, że się między sobą w wyborze dróg różnili. Kto z nich był na lepszej drodze?—nie wiem.

I przypomina mi się tutaj przypowieść z „Księgi pielgrzymstwa“ o kobiecie leżącej w letargu, i lekarzach, co się spierali o metodę leczenia i synu, co krzykiem miłości matkę obudził. Nie bądźmy tylko lekarzami.

Życie narodu tak samo jak życie człowieka, a może w bardziej jeszcze skomplikowany sposób jest procesem ciągłego wchłaniania nowych pierwiastków, ciągłego stwarzania nowych wartości.

My chcemy, żeby naród polski żył, chcemy żeby nie tylko myślał, ale i czynił; myśleniom, chęciom i czynom tym nie stawiamy granic. Niech się rozrasta i rozkrzewia, niech się najcudniej rozkwieca, i potężny i wielki niech się nie lęka burz. My chcemy nietylko cegła po cegle od podstaw wznosić dla narodu polskiego dom, ale chcemy żeby w tym domu mieszkał duch żywy, twórczy, wciąż naprzód idący. My chcemy, żeby polskie były miasta i wsie i jeszcze wiele innych rzeczy chcemy, o których niema mowy w uchwale. A w Towarzystwie Kultury Polskiej chcemy, żeby byli wszyscy ci, którym kultura polska jest droga, którzy pragną rozniecać jej światło, albo się przy jej ogniu grzać. Polaków nie chcemy mierzyć na „ówierci“ i nie po słowach, a po czynach chcemy ich poznawać, przy pracy, nie przy rozprawach pustych.

Są, którzy nie mówią tego i nie wykrzykują, bo w dumnie zapamiętaniu myślą, że praca ich codzienna mówi za ich dobitniej. Niech krzyczą ci, co mają mocne płuca i żadnych zadań do spełnienia.

Poset czynu

▷○○○○○○○○◁

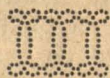
Pograżylem się w myślach, nad tem jaka przyszłość oczekuje nas w tym nieznanym i odległym zakątku Syberji.

Czy mamy wyrzec się na zawsze dawnego życia, życia pełnego walk i niebezpieczeństw, ale też i wielkich nadziei na lepszą, jaśniejszą przyszłość?

Czy ta obrócona w popiół i zgliszcząca roślinność nie jest symbolem tego, co nas oczekuje w przyszłości?

Czy pod wpływem ogólnej martwoty otaczającej nas przyrody nie zamienią się w popioły nasze pragnienia i ideały, czy nie zetleją wielkie hasła?

Lecz na tem cmentarzysku pusto było i głucho i na moje pytania nie znalazłem odpowiedzi...



Ideja spółdzielcza.

Kooperacja, podobnie jak dobroczynność, zwraca się przedewszystkiem ku słabym społecznym, ku wydziedziczonym; zasadniczo przeciw różni się od dobroczynności. Dobroczynność jest pomocą przychodzącą z zewnątrz, jest jałmużną rzucaną przez silnych naprzykrzającym się słabym. Dobroczynność nie ma na celu takiego wzmocnienia słabych, aby słabymi być przestali, jeno przeniesienie im ulgi doraźnej, podanie ręki do przejścia przez bolesną, ciernistą drogę ziemskiego żywota.

Zupełnie innym duchem przeniknięta jest kooperacja, która mając na widoku wzmocnienie słabych, im samym zrzeszyć się nakazuje, powołuje słabych do gromady, aby łącznymi siłami wrogiemu naporowi czoło stawić mogli. Złączeni w kooperatywę słabi, sami własnymi rękami i wspólnym wysiłkiem lepszą stwarzają sobie dolę, dążą do zdobycia siły, której ich dzisiejszy układ społeczny pozbawia.

Kooperatywa — dalej—jest pewnego rodzaju związkami, spółką handlową lub wytwórczą, głęboko jednak różni się od związków kapitalistycznych, od syndykatów fabrykanckich lub zmów wielkich kupców. Te syndykaty i zmony bowiem są związkami silnych uprzywilejowanych, zawiązanymi w celu powiększenia swej siły i przywileju, są to zgrupowania wyzyskiwaczy dla tem skuteczniejszego, tem głębiej sięgającego wyzyskiwania. Są to przytem organizacje założone wyłącznie na interesie samolubnym i których jedynym zadaniem jest powiększenie majątku swych członków, choćby za cenę zrujnowania lub metodycznego wyzysku olbrzymiej większości społeczeństwa. Wreszcie organizacje kapitalistyczne są prawie zawsze zamknięte: nietylko nie dążą do rozszerzania się na całe masy, lecz wprost przeciwnie—mają tendencję do zacieśniania się w gronie coraz bardziej uprzywilejowanych jednostek.

Warto jeszcze rozpatrzyć różnicę między kooperatywą i spółką udziałową. Zwykle powiada się w tych razach, że spółka udziałowa jest zgrupowaniem kapitałów, gdy kooperatywa jest zgrupowaniem ludzi. Członkowie spółki udziałowej pobierają dywidendę proporcjonalną do wysokości wniesionego udziału i mogą udziały sprzedawać, gdy członkowie kooperatywy uczestniczą w zyskach w stosunku — jak mówią Anglicy — „korzystania z kooperatywy“. Są to wszystko jednak jeszcze zbyt powierzchowne, zbyt grube, jakkolwiek dla celów prawnych wystarczające, różnienia.

Ostateczne kryterjum, zdaniem jednego z wybitnych angielskich teoretyków kooperatywy, leży głębiej i jest delikatniejsze. Aby orzec, czy dane zrzeszenie jest kooperatywą, czy nie — winniśmy nie tyle studjować ustawę i porównywać ją z tekstami typowych ustaw kooperacyjnych, ile wejrzeć w życie danego stowarzyszenia i w usposobienie jego członków, zapytując: Czy stowarzyszenie wasze gotowe jest zawsze przyjąć do grona członków każdego kto, posiadając wymagane warunki charakteru osobistego, ekonomicznie jest tak słaby, jak wy byliście przed zawiązaniem stowarzyszenia, lub nawet słabszy od Was?

Jeśli odpowiedź wypadnie twierdząco, daną organizację musimy uznać za kooperatywę, w przeciwnym zaś razie odmówimy jej tego mia-

a burżuazyjną—miejską i chłopską—Francją. Z wyjątkiem socjalistów — a iluż między nimi jest doskonałych patryjotów!—cała Francja była „gotowa“, a przede wszystkim stanęła przy rządzie, który chciał bronić Francje, jako takiej.

Mijały czasy radykalnych ministerjów. Kto bywał w Izbie, ten zmiany nastroju łatwo wyczuwał. Po zdeptaniu strajku kolejarzy (1910) miał Briand większość w Izbie, wbrew radykałom, ale musiał ustąpić na rzecz ministerjum radykalnego. Nie utrzymał się Monis, nie utrzymał się Caillaux, który prowadził negocjacje z Niemcami i przeżył odrodzenie nacjonalizmu francuskiego. Przychodził znowu dzień Poincarégo.

Ministerjum jego powołane do życia po upadku Caillaux zostało odrazu przewzane wielkiem. Zestawiano Poincaré z Gambetta. „Wielkiem“ — dlatego, że wchodziło do niego kilku byłych premierów, cały szereg przewodców parlamentarnych, kandydatów nawet na najwyższy urząd republiki. Zgodził się porzucić zacisze domowe Cyncynat: Leon Bourgeois — kandydat na prezydenta republiki, pomimo ciężkiej, nieuleczalnej choroby zgodził się przyjąć w ministerjum tekę ministra pracy. Wchodził Millerand, Delcassé, Briand. Każdy z tych ludzi był premierem (Briand dwukrotnie) albo był kandydatem na premiera. Wchodząc do ministerjum, twierdzili, że wobec groźnych niebezpieczeństw zewnątrz i wewnątrz, wobec konieczności pacyfikacji Francji, godzili się zająć byle jakie stanowiska, aby być na stanowisku w godzinie próby. Trzeba im przyznać, że rolę pacyfikacyjną pełnili, że ją grali do końca niemal.

Briand, minister sprawiedliwości, nie zrażony kampanją bez litości prowadzoną przeciwko niemu przez socjalistów, w szczególności przez anarchistów w Konfederacji gieneralnej Pracy (C. G. T.)—uwolnił Hervégo z więzienia przed czasem—czego nie chciał uczynić radykał Cruppi; zgodził się na ten akt rozumnej sprawiedliwości umiarkowany Poincaré, nie chcieli się zgodzić radykali Monis ani Caillaux.

Poincaré, przyjaciel ambasadora Izwołskiego jeździł do Petersburga i podróż ta, owacyjnie komentowana w Rosji i we Francji, napsuła dużo krwi w Berlinie, osłabiła skutki spotkania w Poczdamie — a tem samem wzmocniła pozycję Poincarégo we Francji. Gdy rozpalil się pożar wojenny na Bałkanach, Poincaré miał zająć w Trójporozumieniu stanowisko naczelné; wciąż układał t. zw. formuły, pisał noty, zabiegał. Co przecieź znaczyło nie wiele, co jednak, gdy szczęście sprzyja i słowianie bałkańscy osiągnęli zdobycze, o jakich im się nie śniło — tylko wpłynęło na wzmocnienie pozycji premiera francuskiego. Imię jego, sława jego zakreślały koło coraz szersze, płynęły ponad Izba, ponad radą ministrów, ponad kancelarjami Europy. Pod koniec roku ubiegłego był to najpopularniejszy człowiek we Francji.

Chory Bourgeois nie uległ prośbom ani prośbom radykałów. Pomimo zaklęć i wyklinań, — odrzucił nęcący wieniec prezydenta republiki. Jedyny tedy konkurent odpadał. Z innymi Poincaré mógł podjąć walkę nawet wbrew radykałom. Miał pierwszeństwo przed Ribotem, tak samo umiarkowanym wielkiej zresztą wartości moralnej i umysłowej spółzawodnikiem. Ribot zwalczał namiętnie separację kościoła i państwa. Tego radykali zarzucić Poincarému nie mogli. O niebo przerastał radykalnego Pamsa, miernotę obciążoną milionami, ministra rolnictwa w gabinecie Poincarégo, wyciągniętego z mroków polityki parlamentarnej

w ostatniej chwili. Nie zaszkodziła mu zdrada Milleranda, który na tydzień przed wyborami mianował jednego z głównych winowajców i fałszerzy w „sprawie“ kapitana Dreyfusa, — Du Paty de Clama, — pułkownikiem rezerwy (zresztą nominacja ta była ponoć wygotowana przez radykalnego poprzednika Milleranda, ministra wojny Messimy).

Pomimo zabiegów nadzwyczajnych, pomimo namiętności rozpalonych do białości, pomimo całej sztuki Clémenceau — d. 17 stycznia Kongres Wersalski przekazał insygnja władzy najwyższej, co lat siedem odnawianej—Rajmundowi Poincaré. Soćjaliści głosowali do końca na Vaillant'a, który otrzymał głosów 69 (na 75) radykali głosowali do końca za milionowym fabrykantem papieru do papierosów (marka „Job“) Pams'em, przedstawicielem południa. Poincaré otrzymał głosów 483, tyleż co Loubet, poprzednik Fallières'a.

Za Poincarém były rządy Trójporozumienia: minister Sazonow, jego przyjaciel Izwołskij, pan Kokowcew, tak samo jak Asquith i sir Edward Grey. Za nim była też przeważnie posiadająca Francja, o ile nie była wyraźnie za Pamsem. Przezorny, spokojny, zamknięty w sobie, umiarkowany we wszystkim, bardzo zamożny lotaryńczyk — miał za sobą wszystkich. Dla kapitału — miał umiarkowanie. Ludzie pobożni wiedzieli że jest katolik, może niepewny, wprawdzie separatysta—ale napewno przeciwnik wolnej myśli i nie wolnomularz. Potrafił nie mieć przeciwko sobie Jaurésa; agitował za nim na Kongresie wielki mistrz Wielkiego Wschodu Francji socjalista Sembat.

Pan Poincaré jest człowiekiem szczęśliwym.

Złośliwy gotów powiedzieć *aurea mediocritas*. Cóż by wtedy zostało dla ...Pams'ów? Bardzo zdolny, bardzo przezorny, bardzo zabiegliwy, pracowity, wymowny — to każdy powie o p. Poincarém. To wszystko są cnoty burżuazji francuskiej, najgłębszemi bruzdami wryte w zwojach mózgowych francuza. Jakimże ma być prezydent Republiki na tych cnotach zbudowanej, temi cnotami żyjącej w sensie materialnym tego słowa? Nie obejmują one całej duchowej Francji. Francuski rentier, francuski chłop, zjadacz chleba, płatnik podatkowy, urzędnik, deputowany—giną bez reszty w tych właśnie cnotach mieszczańskich. Pan Poincaré nigdy nie był biednym, nie był synem rybaków, jak Briand. Był „najlepiej urodzonym“ przedstawicielem mieszczańskiej Francji. Miał za sobą starą i zasobną rodzinę, miał za sobą miasto rodzinne, departament, — gdy do życia wchodził. Nie potrzebował o nic prosić, przed nikim korzyć się, nie potrzebował kłaniać. Koło wyborcze było gotowe, gdy mógł się zacząć o jego względy starać. Był deputowanym w 27 roku życia, ministrem w 33-im. Był ministrem ile razy zapragnął. Zdobył jedną z najpierwszych klienteli, jako adwokat. Miljony płynęły przez ręce szczęśliwego obrońcy. Nie wiadomo za co—za piękne przemówienia parlamentarne, spokojne, literackie, —został członkiem Akademji, Nieśmiertelnym. Został premierem w najważniejszej chwili życia własnego. I licząc zaledwie lat 53 zostaje prezydentem rzeczypospolitej, który napewno nie będzie figurantem tylko, zabawką w rękach stronnictw, frakcji, kamaryli parlamentarnej.

Prochu nie wymyślił, nawet automobilu nie zbudował. Żadnej własnej myśli nie miał nigdy. Nie podróżował po nieznanym, wyboistym drogach poznania. Nie znał męki tworzenia, wlotów bohaterkich i takichże upadków. Ale bohatera

miejsce na barykadach, w więzieniu, w odosobnieniu, w samotności, niekiedy w pogardzie społecznych, a w sto lat po śmierci w Panteonie. Ale nie w kurulnym fotelu przeciw Republiki...

Stanisław Posner.

▷○○○○○○○○◁

Syndykalizm niemiecki.

Gdy w Anglii wchodzi w życie nowy bill,— napewno większa część społeczeństwa jest zadowolona. Jest to skutek dobrego ustroju. Gdy we Francji parlament coś postanowi, ludność wyciąga z tego korzyści, lecz ośmiesza lub krytykuje. Jest to skutek temperamentu. Gdy w Polsce zostajemy obdarzeni nowym cyrkularzem, każdy myśli jakby można postanowienie bezkarnie ominąć. Jest to skutek niewoli. Gdy w Niemczech pojawia się prawo, pierwszym instynktem starają się wszyscy do niego zastosować. Jest to skutek dyscypliny.

I rzeczywiście pod tym względem Niemcy są niezwykle narodem. Zlepieni jakimś duchowym kitem, jak pleń posuwają się wspólnie w jednym kierunku. Zdaje się, że niepodobna (byłoby tam znaleźć o tyle odmiennych natur, które nie wyszukałyby sposobu porozumienia się i połączenia w związek. Nikt, tak jak oni nie pojął korzyści z sumowania sił, które stosują w pracy i w instynktach ludzkich. Zarazem znaną jest ich specjalizacja w nauce i przemyśle: mieliśmy sposobność oglądać spory miesięcznik niemiecki poświęcony np.: *wyłącznie filcowym podszewom do butów*. I właśnie takie rozdrobnienie pozwala im zbliżać się, jak ziarnkom piasku, i układać w rozmaite warstwy społeczne. Dla nas wystarczającą jest jedna odmienna cecha, ażeby najbardziej wspólne potrzeby i upodobania rozdzielić, dla nich ta jedna cecha będzie cementem, łączącym w trwałą całość rozmaite elementy. Man muss ein System haben — nawet w bezładzie. Czyż nie najlepszym dowodem służy moc państwa niemieckiego?

W przeszłości byli rozczłonkowani wielokrotnie jak hydra, nie tracąc nigdy żywotnych sił, dzisiaj zrosli się w potężnego smoka. A szczególny nacisk trzeba położyć na to, że u Niemców nie jest to skutkiem instynktu państwowego, jak u Anglików lub Rosjan, lecz instynktu stada, gromady, wreszcie społeczeństwa. Takimi byli krzyżacy, Hanza, junkry, centrowcy, takimi partje, takimi w końcu syndykaty.

Naturalnie, że związki cechów, rzemioł, majstrów i czeladników Niemcy posiadały nawet w wiekach średnich. Właściwy jednak ruch syndykalny rozpoczął się społecznie z francuskim, chociaż pod wpływem wzorów angielskich. W 1865 r. doktor filozofji Max Hirsch, zachwycony podczas podróży w Anglii działalnością trade-unions, postanowił stworzyć podobne w Niemczech. Połączywszy się z posłem i członkiem partji postępowej Franciszkiem Dunker, założyli pomimo znacznych trudności pierwsze syndykaty w właściwym znaczeniu tego wyrazu. Zabarwienie związków Hirsch-Dunkierowskich — utrzymały one imię swych tworców do dnia dzisiejszego — możnaby nazwać złotem. Pierwsze statuty jeszcze z roku 68 stawiają, co prawda, wyżej wartość pracy niż własności, ale celem jest głównie pokojowa obro-

na interesów robotniczych z odrzuceniem wyłączności korporacyjnej, a zwłaszcza utopji socjalistycznych.

Pamiętamy, że sławny manifest międzynarodówki, został zredagowany przez Marksa i Engelsa we wrześniu 1864 roku. Jeśli więc poprzednie syndykaty były reakcją na jego hasła, to jednocześnie powstał znacznie silniejszy prąd ujęty w koryto kolektywizmu. Również po powrocie z Anglii, lecz jako bezkrytyczny wielbiciel Marksa,—wspaniały organizator Liebknecht z początku samodzielnie, a potem przy pomocy Bebla utworzył pierwsze syndykaty czerwone. Wpływy innych szkół socjalistycznych np. Lasalle'a okazały się nieznaczne i wkrótce znikły. Syndykalizm niemiecki pozostał samorodnym.

Trzecia kategoria zawdzięcza swe istnienie wysiłkom biskupa Moguncyi Kettelera, który rozwinął zadziwiającą energję w celu odrodzenia życia religijnego. Szkoły, wydawnictwa, zebrania, związki — wszystkiemi sposobami starał się zdobyć świat robotniczy. Udało mu się na końcu w 1868 roku założyć pierwszy syndykat społeczno-chrześcijański. Rzecz prosta, że natychmiast pastor Stocker przedsięwziął organizację według swojej religji. No, dzisiaj się już pogodzili i różnica wiary nie przeszkadza im wspólnymi siłami zwalczać socjal-demokratycznego wroga.

Istnieje pozatem sporo syndykatów niezależnych, które ze względów miejscowych nie przyłączyły się do żadnej z poprzednich kategorii. Wymykają się one z pod kontroli statystyki, chociaż ogółem przedstawiają tak znaczną liczbę, że nie można o nich zapominać, wyciągając wnioski z poniższych danych. Zatrzymamy się dla porównania na roku 1908, gdyż z tego samego czasu poznaliśmy bliżej syndykalizm francuski i angielski.

Dzisiaj ogólną liczbę zsyndykowanych obliczają w Niemczech na przeszło 3 miliony. Ścisła liczba z roku 1908 wykazuje 2,382,655. Na syndykaty zapoczątkowane przez Liebknechta wypada 1,831,700 członków; chrześcijańskie — 264,500; Hirsch-Dunkierowskie — 105,600; reszta zaś około 180,000 dzieli się pomiędzy rozmaite syndykaty niezależne, lokalne, chrześcijańsko-niezależne i t. d. Widzimy więc, że przeszło trzy czwarte robotników połączyła się w grupy czerwone. Oni też nadają ogólny charakter syndykalizmowi niemieckiemu, oni go słusznie mogą reprezentować.

A zwalczali czerwoni wielkie trudności. W 1878 r. liczyli zaledwie 50,000 członków. Dwa w tym samym roku następujące po sobie zamachy Hoedek'a i Nobilinga przeciwko cesarzowi zwróciły straszną czujność Bismarka przeciwko socjalistom. Posypały się obostrzenia i zakazy, a uderzające głęboko, najczęściej w sam korzeń rosnącej formy życia. Agitacja została uniemożliwiona, prasa bezsilna wobec kar. I na to trzeba rzeczywiście natury niemieckiej, nadzwyczajnej żywotności idei i niezwykłego instynktu organizacji, ażeby po dziesięciu latach takiego istnienia zwyciężyła Bismarka liczbą 200,000 członków. W 1890 roku prawa ograniczające zostają cofnięte; syndykalizm od tego czasu ma kłopoty codziennego życia, ale nie tamy, opóźniające jego coraz szerszy, coraz głębszy rozlew po kraju.

Stosunek środków materialnych jest prostym do ilości członków. Porównanie zasobów w 1908 r. rozmaitych grup wykazuje równie jaskrawo przewagę syndykatów socjalistycznych.

	Dochody	Wydatki	Rezerwa
Syndykaty czerwone	48,572,365	42,043,935 „	40,840,500 „
„ Hirsch-Dunkiera	2,695,571	2,350,660 „	4,200,000 „
„ chrześcijańskie	4,395,710	3,556,217 „	4,513,000 „

W pierwszych z tych grup najważniejsze pozycje wynosiły w liczbach okrągłych: pomoc dla chorych 8,474,000 mar.; dla bezrobotnych 8,134,000; pomoc w czasie strejków i lokautów 4,819,000; dla robotników wydalonych 1,440,000. Od 1891 r. do 1908 r. w sumie największą w każdym razie liczbę wykazuje rubryka strejków i lokautów, bo przeszło 65 milionów marek, podczas gdy w tym czasie pomoc dla chorych wynosi 27 i dla bezrobotnych 25 milionów marek. Ostatnie lata wciąż powiększają budżet walki, natomiast pozostałe wydatki trzymają się mniej więcej na tym samym poziomie.

Wkładka roczna naogół jest dosyć wysoka w syndykatach z odcieniem rewolucyjnym: 71,600 członków płaciło przeciętnie 54 marki 60 fenigów, 381,000 wniosło po 31 m. 20 f. i t. d., wreszcie tylko 490 członków zostało spodatkowanych 7 m. 20 f., a paru jeszcze niżej. Lecz zupełnie uwolnionego od wpisu nie było ani jednego.

Socjalistyczne syndykaty jednej profesji łączą się w federacje, których jest około 70. Najliczniejszą jest metalurgiczna z 360,000 członków i 12 milionami dochodu, potem idą mularze, stolarze i cieśle, górnicy i t. d.

Dosyć dziwnym jest fakt, że syndykaty o rozmaitych zabarwieniach rekrutują swoich zwolenników specjalnie w pewnych fachach. Tak na przykład, większość w syndykatach Hirsch-Dunkierowskich stanowią robotnicy przy konstrukcjach mechanicznych — 47,000 członków. Chrześcijańskie znowu znalazły 74,000 wyznawców wśród robotników, którzy rzadko widzą światło: są to górnicy. Niezależni zaś są bardzo często szewcy.

Wpływ partji politycznych na syndykalizm, a nade wszystko wpływ socjalistów daje się łatwo zanalizować przy zrozumieniu tych poglądów, które wysunęliśmy przy początku naszej pracy. Jeśli stają do walki z równie dobrą i potężną organizacją fabrykantów, to pomimo swej niezależności i abstynencji politycznej chętnie wzywają pomocy socjalizmu w parlamencie. Potrafią się nawet zdobyć na oportuniizm pożyteczny, gdy chodzi o interesy kraju. I oni to właśnie wytworzyli ten niepokój w parlamencie rzeszy Niemieckiej, przeprowadzając liczbą swych głosów socjalistyczną większość. Nie czyniąc wzajemnie zamachów na swoją indywidualność, oddzielnymi drogami dążą do jednego celu wolności. Jak oni go rozumieją?

Zdawna już Heine tak odpowiedział w swoich Reisebilder:

„Anglik kocha wolność jak prawowitą małżonkę; posiada ją i chociaż nie traktuje jej z szczególną czułością, potrafi wszakże w razie potrzeby bronić jej jak mężczyzna i biada strojnisiowi, który dotrze do sanktuarjum sypialni, bez względu czy to będzie salonowiec, czy sierżant. Francuz kocha wolność jak narzeczoną, którą wybrał sobie; płomienie dla niej, zapala się, rzuca do jej stóp z przysięgami najbardziej przesadnymi, bije się za nią na śmierć i dla niej czyni tysiące szaleństw. Niemiec kocha wolność tak, jak kocha swą

starą babkę. Być może, iż znudzony anglik, obrzydliwszy sobie żonę, założy jej kiedyś sznuręk na szyję i pójdzie sprzedać na targu w Smithfield. Być może lekki francuz zdradzi narzeczoną, opuści ją i pójdzie, śpiewając i tańcząc, zalecać się do dam w pałacu królewskim. Ale Niemiec nigdy zupełnie nie wyrzuci za drzwi swojej starej babki i zachowa jej zawsze mały kącik przy kominku“...

R. Dołęga.

▷○○○○○○○○◁

Wiosna.

Ludzie mówią o wiosnie:

— Przyjdzie tu lada dzień —
słysząc, jak trawa rośnie
od ciepłych wiatru tchnień...

— W nocy coś ze snu budzi
szumem wezbranych rzek...—
Więc pytam dobrych ludzi,
czy wszystkich stopniał śnieg?

Mówią mi dobrzy ludzie:
— Jeszcze się czerni błonia,
ale już gdzieś po grudzie
bije kopytem koń.

— I trąbka się odzywa —
raz wraz zaczyna grać...
Coś w nocy ze snu zrywa,
coś nam nie daje spać...

I prawda — trawy rosną
i świat się budzi wkrąg...
O przyjm, idąca wiosno,
ofiarę z naszych rąk!

Edward Słoński.

▷○○○○○○○○◁

TEATR ZIMOWY.

(Repertuar. — „Nitouche“ — „Poeci się żenią“).

Losy teatru i repertuaru emocjonują nas obecnie w stopniu znacznym.

Gościnne występy Frenkla były poniekąd kulminacją sezonu — że kulminacją ta przeszła nieświeżo pod względem kasowym, wina w tem nasza.

Boć mieliśmy szereg doskonałych sztuk — a w każdej niezapomnianą kreację Frenkla. Dziś dziwić się trudno, że gdy Frenkiel zawiódł oczekiwania dyrekcji pod względem kasowym, daje się zauważyć pewna dezorientacja, brak wytycznej w stosunku do repertuaru, brak rozmachu, z jakim dyrekcja rozpoczęła obecny sezon, przełamując po krótkim okresie wahań bierny opór naszej publiczności.

Chcielibyśmy wskazać na niebezpieczeństwo wystawiania sztuk słabych, lub nazbyt znanych; nie cały personel teatralny jest przepracowanym w tym roku: są aktorzy, którzy nie grają nic, lub prawie nic — obawiać się tedy premier zasadniczo nie należy.

Natomiast należy się obawiać dla finansów teatru zbyt częstego grania wodewilów, gdy w składzie towarzystwa brak prawie całkowicie artystów po temu uzdolnionych i materiałów głosowych; należy z wielką ostrożnością obsadzać poszczególne role zaś sztukom tak słabym, jak ostatnio inaugurowani „Poeci się żenią” Gorczyńskiego — całkowicie odmówić racji bytu.

Mógłby ktoś twierdzić, że trudno jest przewidzieć przed premierą, jakie ją spotka przyjęcie — i dla ścisłości przyznamy, że w naszych stosunkach teatralnych istotnie nader trudno jest spekulować na powodzenie *murowane*.

Ale z praktyki wiemy, że opinia teatralna orientuje się zazwyczaj doskonale w szansach premier, że niechęć i brak zapachu do pewnego utworu są dosyć miarodajne.

Dało się to zauważyć wśród naszych artystów przed wznowieniem Nitouche, a w znacznie jeszcze silniejszym stopniu przed zagranieniem sztuki Gorczyńskiego.

Mogła, oczywiście liczyć nasza działówka, że „Nitouche” — wodewil stary, lecz wesoły i wdzięczny — utrzyma się przez czas pewien w repertuarze: obyż tak było.

Zrozumiałe jest jednak że przy braku odpowiednich sił aktorskich rzecz z paroma wyjątkami będzie obsadzona i grana po amatorsku.

Cóż?

P. Galińska — Nitouche — dała bardzo dobrą grę — śpiewała — o ile mogła — najlepiej, lecz już w trzecim rzędzie słyszeliśmy tylko połowę.

Nie przyczynił się do powodzenia wodewilu p. Kiernicki, gdyż grał marnie i wyglądał nie odpowiednio.

Że całość wypadła mimo rozliczne braki — składnie, zawdzięczać to należy całemu szeregowi dobrych gier aktorskich: nie były to jednak gry w stylu *wodewilowym*.

Tak więc b. dobre były panie: Müllerowa, Dąbrowska, Sławińska; dobry byli pp. Cornobis, Węgierko, Bielicz... p. Strycharski dał wyborną sylwetę — wypada też wymienić pp. Szarkowskiego i Norskiego.

Jedynie i wybitnie wodewilowym artystą jest jednak p. Jerzyński — komik dobry, ruchliwy i pomysłowy. Jemu też przypadła w udziale lwią część oklasków.

Rola Celestyna „leży mu w głosie“.

Najnowsza sztuka B. Gorczyńskiego „Poeci się żenią” jest stanowczo najsłabszą ze wszystkich, które dotychczas powstały na jego warsztacie artystycznym.

Gorczyński należy obecnie do pisarzy „de qualite” — w Warszawie ma debit szeroki, a względy, o które, nieraz tak bezskutecznie dobijają się młodzi pisarze dramatyczni — posiada oddawna.

Nie tłumaczy to jednak, dlaczego sztukę jego grają obecnie: zalet innych, prócz dobrej firmy literackiej autora — nie posiada.

Nie wiem, o ile słuszne się okażą twierdzenia o stałej dekadencji jego talentu. Wypada jednak skonstatować, że ostatnio grywane jego sztuki są coraz słabsze.

Czyżby się wypisał?

Niemasz w „Poetach...” zalet akcji, ani plastyki rysunku, bodaj szkicowego.

Intryga — czy fabuła — nader nikła nie wiąże poszczególnych sytuacji w całość logiczną.

Lekka satyra — o ile się ją w zamierzeniu dostrzeżę, nie ma ani lwiego pazuru, ani ciętego persiflażu.

Djalogi ustawiczne, w których jest trochę feljetonu, dużo zużytych prawd o artystycznym „stań się” — ciągła szermierka słów — nużą, lecz nie podniecają i nie bawią.

Sztuka jest par excellence papierową, dlatego też przechodzi całkiem bez wrażenia — chwilami parafrazując wersję komedji, chciałoby się powiedzieć:... „napisałem lecz absolutnie nie wiem poco napisałem.“

Wysoce niewdzięczne zadanie miała reżyserja, z której jednak b. dobrze i sumiennie wywiązał się p. Borowski.

Niewdzięczne i trudne zadanie mieli nasi artyści, którym autor kazał prowadzić trzy akty djalogów, pozbawionych racji, a chwilami wprost enigmatycznych.

To też nuda była na widowni.

Nie przesadzę chyba, gdy powiem, że poza paroma żywszemi scenami w trzecim akcie, za które należy się pochwała paniom: Arkawinownie, Wrześniowskiej i Czechowskiej — momentem centralnym był ten, gdy p. Sachnowska w porywie realistycznej ekspansji wybiegając, wyważyła z łokotem całą połowę drzwi i zatrzęsała kulisami w sposób żywiołowy...

Nie mieli odpowiednich ról pp. Czarnowski i Węgierko — zwłaszcza ostatni. Zresztą... czy są w tej sztuce role „odpowiednie?“

Duet literacko-dziennikarski wypadł w ich ujęciu względnie dobrze.

Stosunkowo wdzięczną rolę miała p. Wojciechowska — lecz naiwność jej i wioskowy intelektualizm — nie robiły wrażenia szczeroci.

Pp. Bielicz i Norski nie wydobyli ze swych ról nic indywidualnego.

Kilka niezłych momentów dał p. Kiernicki.

Oto wszystko.

Artystom naszym za tę sztukę warto, zaiste, złożyć kondolencję.

Na przyszłość zaś chyba życzenie, by natrafiono znów na jaką rzecz kasową: wiemy, że praca w warunkach zachwianych nie należy do rozkoszy, a troska o losy sezonu nie wpływa na olimpijski spokój i pogodę, tak cenną w sprawach twórczości artystycznej...!

Zdzisław Kleszczyński.

◁○○○○○○○○○▷

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Samuel Peszke. *Mój pobyt w niewoli rosyjskiej w r. 1812.* str. 66 Warszawa 1913. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Pamiętnik Samuela Peszkego przełożył na język polski wnuk dr. Józef Peszke. Dowiadujemy się z tych żołnierskich prostych zapisek wiele ciekawych szczegółów dotyczących klęski wielkiej armji napoleońskiej. Dowiadujemy się też o stosunkach, jakie panowały wśród poszczególnych korpusów. Wreszcie, co jest najciekawsze, mamy

odmalowany obraz niewoli, w jakiej znajdowali się jeńcy.

Samuel Peszke był chirurgiem i klasy w 10-ym pułku jazdy wojsk Królestwa Warszawskiego. Z pułkiem tym odbywał kampanję, uczestniczył pod Smoleńskiem i Możajskiem. Był ciężko kontuzjowany w piersi odłamkiem granatu. Po zdobyciu Moskwy dostał się do niewoli rosyjskiej, gdyż zaufał przewodnikom-rosjanom, którzy podstępnie uprowadzili go wraz z kilkoma jeszcze łatwiwiernymi.

Peszke początkowo służył w wojsku saskim. Uczestniczył w bitwach pod Jeną, Ratysboną, Essling i Wagram, Służbę saską opuścił w 1811 roku i od tej pory już nie wrócił do swojej ojczyzny. Polska stała mu się matką i karmicielką. Rodzina Peszkich zasymilizowała się zupełnie i jest już od lat wielu wzorem cnót obywatelskich. W 1813 roku wrócił z niewoli Peszke do Polski i choć chciał go wieźć z Płocka do Drezna oficer saski, oparł się temu kategorycznie, gdyż służył w armji polskiej, więc choć sas z pochodzenia, uważał, że powinien być odstawiony do Warszawy, nie zaś do szeregów króla saskiego.

Pamiętniki Peszkego są bardzo interesujące dla każdego człowieka. Historyk ma jedyny rzadki pamiętnik niewoli, zwykły zaś śmiertelnik atmosferę moralną tak w armji, jak i na cudzym rosyjskim chlebie. Peszke nie znosił prusaków i wszędzie, gdzie wspomina o nich, maluje ich w barwach ciemnych. Toż samo też dotyczy żydów. Mówi o nich z lekceważeniem, które było przecież tak naturalne sto lat wstecz.

Ciekawe są charakterystyki wielu naszych wojskowych, interesują też opisy życia rosyjskiego w oddalonych wschodnich gubernjach państwa. Peszke umarł w 1837 roku. Synów swoich przeznaczył do wojska polskiego. Jeden z nich Franciszek brał czynny udział w powstaniu i umarł na Syberji.

Komu jest droga przeszłości nasza, niech stronicę pamiętnika Peszkego sumiennie przeczyta. Znajdzie w nich wiele uwag cennych a zupełnie bezstronnych.

Oryginał pamiętnika był pisany po niemiecku. Uzupełnił przekład dopiskami znany historyk Henryk Mościcki.

Ludwik Romocki. *Owoc zakazany*. (powieść) str. 352. Kijów 1912. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego, Warszawa. Leon Idzikowski, Marszałkowska 119.

Że też chce się wydawcom takie powieści drukować! Lepiej było już, gdyby otwarcie wydali coś skandalicznego, coś wołającego o posłuch wśród szwaczek, praczek i pensjonarek! Wtedy każdy zgóry byłby przygotowany, że należy drzwi od tyłu zamykać, gdyż może go nawiedzić taka „hintertreppeliteratur“.

Pan Romocki w niespełna rok rzuca na rynek księgarski już drugi tom bigosu z zapaszkiem skandalu, alkowy, seperatki i zamtuзу. Uczy swoich czytelników, jak z kobiety można zrobić tulipana, jak podgląda się zakochanych, jak wygląda poznański dom schadzek.

Wogóle cała ta powieść dyszy okropną atmosferą. Niesmaczne jest bowiem, gdy ktoś uważa się za upoważnionego, by opisywać dzieje procesu hr. Kwileckiej i to jeszcze w taki sposób! Język wandalistyczny, pełny dziwolągów, jak np. „tudotađ“. Ma to być jedno słowo! Czy kto słyszał, by polak mógł powiedzieć: idę tudotađ. Mó-

wi idę tu, idę dotąd, ale idę „tudotađ“ — tego nikt jeszcze nie słyszał.

Tego rodzaju kwiatków pełno w powieści p. Romockiego. Po „Liściu figowym“ obraził się na krytykę, że wykazała pornograficzne tendencje w jego powieściach. Obecnie — niema już dwóch zdań. Więcej p. Romockim, jako powieściopisarzem, zajmować się nie będziemy.

Józef Lange. *Moda*. (szkic społeczno-polityczny) str 86. Warszawa 1912.

Na szerokim podłożu rozważań społecznych stawia p. Józef Lange zjawisko mody. Widzi w tem zjawisku siłę kształtującą, siłę socjologiczną. Nim jednak dochodzi do pewnych uogólnień, sięga pamięcią wstecz, odtwarza historję walki z modą, wykreśla w przeszłości linje, które pomagają do orientacji w zagadnieniu. Utyskiwania na modę w Polsce są bardzo starej daty. Lange przytoczył cały szereg pisarzy wieku złotego, którzy modę uważali za równoznacznik niemal z rozluźnieniem obyczajów, a nawet pomawiali o zbrodnię przeciwnarodową, przeciwnarodową.

Na szerokich tłach ekspansji narodów wykazał Lange, że francuska moda dla tego zawiądnęła światem, bo naród francuski wtedy stał u szczytów przodownictwa politycznego i kulturalnego. Podkreśla też wyraźnie autor, że sama kultura narodu nie wystarczy, by uczynić ją władczynią dusz innych narodów. Gdy naród jakiś staje się wzorem w czemś, to pierwszym krokiem w danym kierunku jest jego potęga materialna i państwowa. Moda hiszpańska władnęła wtedy na całym obszarze Zachodu, gdy hiszpanie stali u zenitu swojej ekspansji narodowej, później przyszła kolej na Francję, obecnie chodzimy w strojach angielskich — a wszystko to idzie w parze z rozwojem sił społecznych.

Podkreślenie tego momentu państwowo - ekspansyjnego w rozważaniu mody uważam za bardzo dodatnią cechę pracy Langego. Świadczy to bowiem, że Lange umie wiązać problemy społeczne z ich rzeczywistym podłożem.

Książka Langego ma wartość dla każdego człowieka. Obok bowiem wielu szczegółów historycznych daje śmiałą wytyczną, w jaki sposób należy podchodzić do zjawisk socjologicznych. Pisana jest językiem jasnym i precyzyjnym.

Eustachy Czekalski.

oooooooooooo

PRASA POLSKA.

— Sprawa wychodźstwa z naszego kraju do Ameryki stanowi niewątpliwie bardzo doniosłą kwestję, o której społeczeństwo powinno pamiętać. Uregulowanie emigracji włościańskiej i zapewnienie jej znośnych warunków stanowić powinno jedno z najważniejszych zadań tych, którzy się poczuwają do obowiązków względem ludu.

„Przeгляд Wileński“ zamieścił w № 13 z r. z. wyczerpujący artykuł w tej kwestji, gorąco nawołując społeczeństwo do zaopiekowania się nowo-otworzonym wówczas Biurem emigracyjnym w Wilnie.

Niestety, słowa te przebrzmiały bez echa. Instytucja ta po roku wegietacji — upadła. „Kurjer Krajowy“ poświęca jej wymowny nekrolog:

„W lecie 1911 r. szczerła garstka osób zaczęła przemyślać nad utworzeniem w Wilnie Towarzystwa Opieki nad wychodźcami.

Po zwróceniu się tu i owdzie, garść ta przekonała się o zupełnej bierności społeczeństwa naszego na Litwie i Rusi; spotkała się nawet z twierdzeniem najmniej sfer w mieście a szczególnie na wsi, że skoro jednego emigranta agierci obedzą z pieniędzy, nie wpuszczą go władze amerykańskie na ląd, ponieważ nie mają pewności, czy nie będzie on dla nich zbyt uciążliwym: taki wychodźca wróci i dziesiątemu odradzać będzie emigrację...

W tych warunkach Towarzystwo Warszawskie zwróciło się do społeczeństwa miejscowego z projektem założenia oddziału Towarzystwa w Wilnie lub samodzielnego Towarzystwa Krajowego. Lecz projekt upadł, a Warszawa, niezrażona, postanowiła w przeciągu rokułożyć ze swych szczupłych funduszy na wydział wileński będąc pewną, że mieszkańcy Litwy i Rusi poprą te usiłowania, że zechcą korzystać z doniosłej pomocy Towarzystwa i że przykład ten pociągnie społeczeństwo naszego kraju do spółdziałania w tej tak doniosłej a niezbędnej społecznej instytucji.

Nie będziemy się tu rozwodzić nad poszczególnymi faktami z życia Wileńskiego oddziału Towarzystwa, podkreślimy tylko, że gdy nadeszła wiosna 1912 roku, z Warszawy przyjechał dyrektor Towarzystwa i między innymi na zebraniu rzucił projekt „oddziału krajowego T-wa warszawskiego“ z komitetem złożonym z ludzi tu, w kraju pracujących, dodając, że T-wo warszawskie przez rok tylko jeden będzie mogło utrzymywać oddział wileński, bo choć oddział ten nie wymagał wielkich funduszy, tym nie mniej jakieś półtora tysiąca rubli zajęłyby na budżecie ogólnym Towarzystwa.

Zebranie nie wypowiedziało się w tej kwestji: postanowiono poczekać i zrobić co się da...

W ciągu jednego roku istnienia Oddziału Wileńskiego Towarzystwo wydało własnym kosztem słowniczki dla emigrantów, jadących do Ameryki, w języku angielskim, polskim, litewskim i białoruskim; lud się zwracał do biura pozostającego pod kierownictwem p. Haliny Kremerowej, z zupełnym zaufaniem. ponieważ zasada wileńskiego oddziału było traktowanie emigrantów—jako emigrantów, bez zwracania uwagi na narodowość, wyznanie lub poglądy polityczne; dowodem między innymi jest liczne zgłaszanie się żydówek-emigrantek.

Powtarzamy: lud przyjął instytucję wychodźczą bardzo sympatycznie: czy to polacy i litwini, czy też białorusini i żydzi; przy rozwoju na przyszłość Towarzystwo miałyby ogromne znaczenie.

Cóż? Kiedy społeczeństwo miejscowe zachowało się biernie, nie rozumiejąc czy nie chce zrozumieć społecznego znaczenia podobnej instytucji: d. 1 listopada 1912 roku, Oddział Wileński Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami po roku istnienia zamknął swe biuro“

„Kurjer Krajowy“ oburza się na obojętność społeczeństwa. Niestuszenie, naszym zdaniem. Wszakże na czele T-wa nie stał żaden ksiądz ani hrabina. Więc żadne „Achy“ ani „Tęcze“ z pomocą mu pośpieszyć nie mogły. A nasze społeczeństwo nie rozumie innego wspierania instytucji, jak tylko w postaci tańczącej i karotującej filantropji.

Wir kennen unseren Pappenheimer!

— Niestrudzony działacz na polu kooperacji p. A. Szklennik zwraca uwagę w № 1 „Życia Spółdzielczego“ na barbarzyński zwyczaj całowania ręki, jako sposób witania się między włościanami i ziemianami. Szczególniej razi ten przeżytek z czasów pańszczyźnianych w instytucjach spółdzielczych, gdzie musi panować zupełna równość pod hasłem zrzeszania się ludzi dla celów zbiorowej samopomocy. Istnienie i rozwój kooperatywy zależnem jest bezpośrednio od tego, z czem uczestnicy przychodzą do wspólnej pracy, jakie są ich zalety duchowe i społeczne.

„Niestety, nie trzeba wielkich zdolności spostrzegawczych, aby widzieć, co stara się uwydatnić nasz ziemianin wchodząc na salę, gdzie zbrali się uczestnicy kooperatywy, aby radzić nad sprawami wspólnej instytucji; oto przedewszystkiem stara się wykazać nie dobrą wolę, nie inicjatywę lub przygotowanie swoje do kie-

rownictwa instytucją, lecz obowiązkiem swoim uważa podkreślić „ton“ i za wszelką cenę wykazać swoją wyższość społeczną przed wszystkimi obecnymi; zgodnie z tradycją, ziemianin podaje rękę tylko... „do ucałowania“!

Niezależnie od swych uzdolnień i swego przygotowania, ziemianin może zająć tylko stanowisko „przodujące“, czyli najwyższy urząd w instytucji, a lista członków zarządu układa się zgodnie z jego wskazówkami, przyczem, dla potrzeb chwili, robi się to ustępstwo, że w poczet członków zarządu zaprasza się paru przedstawicieli włościan. Pomimo swych równych praw w radzeniu nad sprawami instytucji społecznej, oraz, że do zarządu wchodzi najpoważniejsi z włościan, ziemianin zostaje wiernym tradycji stanowej i włościaninowi nie podaje ręki do uścisku nawet na posiedzeniu zarządu, zasiadając za jednym z nim stołem.

Taki pan widocznie nie ma nawet tego poczucia, że z chwilą, jak wykazał „ton“, porwał on te nici serdeczne, jakie go mogły łączyć z uczestnikami kooperatywy, a zezwalając na całowanie ręki, poniżył godność członków instytucji społecznej. Po takim przywitaniu się z jednym z uczestników, nie będzie już dziwnem, jeżeli ziemianin poczytuje sobie za ułudzenie podanie ręki innemu włościaninowi, czy to będzie założyciel nowopowstającego stowarzyszenia, czy korzystający z zaufania ogólnego członka zarządu lub rady. Ten rodzaj powitania wygląda conajmniej dziwnie, szczególnie w pracy spółdzielczej i wyjaśnia znakomicie całą nieszczerość uczuć naszych ziemian względem włościan“.

Oh, ileż takich przeżytków pokutuje jeszcze na naszym gruncie, tamując normalny rozwój kraju i społeczeństwa! Uskarżamy się na ciemnotę ludu i wołamy o oświatę dla mas. A czy nie toną również w barbarzyństwie duchowem znaczne warstwy naszej „inteligencji“, zarówno miejskiej jak wiejskiej? I czy nie jest wobec tego najpilniejszym zadaniem praca nad wyplenianiem rozmaitych chwastów na niwie kulturalnej wśród t. zw. sfer oświeconych?

Strasznie daleko pozostaliśmy w tyle w ogólnoludzkim pochodzie cywilizacyjnym.

▷○○○○○○○○◁

NA WIDNOKRĘGU.

Na Bałkanach znowu grzmia działa. Wojna została wznowiona i według depesz operacje przeciw pozycjom tureckim prowadzone są z wielką intensywnością. Wielkie dzienniki europejskie, inspirowane z kół dyplomatycznych, nie szczędzą optymistycznych zapewnień na temat bliskiego pokoju, ale zbyt widoczne jest w całej tej sprawie bankructwo urzędowej dyplomacji, iżby na zapewnieniach tych można było polegać. Łatwiej chyba było niedopuszczyć do powtórnego wybuchu wojny, niż pokierować dalszym biegiem wypadków, obejmujących wciąż szerszy teren i uderzających o żywotne interesy mocarstw.

Misja ks. Hohenlohego do Carskiego Siola z własnoręcznym listem cesarza Franciszka Józefa może świadczyć o szczerych usiłowaniach pokojowych ze strony sędziwego monarchy, ale sama przez się nie stanowi bynajmniej symptomatu pokojowego. Do tego bowiem potrzeba, iżby misja ta wydała pozytywne owoce, iżby doprowadziła jeżeli nie do porozumienia, to przynajmniej do nawiazania układów pomiędzy obu państwami. Oczywiście to wszystko pozostaje dotychczas w krainie domysłów i pogłosek bez żadnej podstawy faktycznej.

Tymczasem zaś, jak to zaznaczają niektóre głosy, list cesarza austriackiego świadczy o tem, że sytuacja jest bardzo poważna. Może ona świadczyć również o niepewności i kruchości wiary

w cały t: zw. koncert europejski, skoro obecnie po długich konferencjach londyńskich Wiedeń próbuje drogi bezpośredniego porozumienia z Rosji.

Zresztą w obecnej fazie przesilenia wschodniego antagonizm austriacko-rosyjski przestaje być czynnikiem górującym. Drugi okres wojny stawia na porządku dziennym polityki międzynarodowej kwestję resztek panowania tureckiego w Europie, czyli Konstantynopola z cieśninami. Ale, jak wiadomo, jest to centralny punkt historycznej kwestji wschodniej, obciążony licznymi umowami i zobowiązaniami międzynarodowymi. Tu już obok Rosji nie Austria będzie głównym partnerem, lecz chyba Niemcy oraz Anglja. Co więcej, zupełna likwidacja państwa Ottomańskiego w Europie podważa, a właściwie obala możliwość panowania tureckiego w Azji.

Obok skutków moralno-politycznych, prowadzących się do upadku autorytetu wszelkich władz tureckich i nieuknionej anarchji, w tym samym kierunku działać muszą czynniki geograficzne. Niemożliwością jest przy rozstrzygnięciu kwestji cieśnin oddanie jednego brzegu Bosforu i Dardaneli nowemu europejskiemu gospodarzowi, a pozostawienie drugiego turkom. Tak więc bezpośrednio skutki wojny przerzucą się nieuchronnie na brzeg azjatycki, chociażby nawet zwycięzcy bałkańscy trzymali się od niego zdaleka. Aktualność rozbioru Turcji azjatyckiej, wywołana przez dalszą wojnę, jest tak widoczna, że zaznaczyła ją wyraźnie zbiorowa nota koncertu europejskiego, wystosowana do Porty celem skłonienia jej do smutnej rezygnacji.

Gdyby pokój został zawarty w Londynie i nie przyszło do ponownego wybuchu wojny, dyplomacja europejska miałaby przed sobą tylko sprawy bałkańskie. Ale wojna toczy się w dalszym ciągu i do nierozwiązanych i dość gorących kwestji bałkańskich przybywają nowe, z pewnością gorętsze kwestje azjatyckie. W tych ostatnich Austria i Włochy niewiele mają do powiedzenia. Za to bardzo wiele mają do powiedzenia cztery pozostałe mocarstwa koncertu europejskiego, z których każde mniej lub więcej wyraźnie zgłasza pretensje do określonej części masy upadłościowej tureckiej.

Jeżeli tak trudną się okazała częściowa likwidacja panowania tureckiego na półwyspie Bałkańskim, to chyba trudności o wiele wzrosną, gdy przyjdzie do ostatecznej likwidacji państwa Ottomańskiego.

▷○○○○○○○○◁

Położenie katorżników politycznych.

Jak donosi „Russk. Słowo“, nie długo przed wakacjami Bożego Narodzenia niektórzy posłowie Dumy zwrócili się do prezesa Rady ministrów, starając się o zmianę przepisów więziennych dla katorżników w więzieniach kutomarskiem i algaczyńskim.

Posłowie oświadczyli, że pożądanym jest przynajmniej złagodzenie środków, stosowanych celem „równouprawnienia“ katorżników politycznych z kryminalnymi. Środki te, wprowadzone przez zarząd więzienny oraz przez wojennego generał-gubernatora zabajkalskiego, Kiaszkę, polegały na karach cielesnych i poniżającym obchodzeniu się z politycznymi katorżnikami.

Prezes rady ministrów odpowiedział posłom, że

osobiście uważa za pożądane złagodzenie tych przepisów i że według niego w danym wypadku trzeba nawet nie zmiany rozporządzenia, ale bardziej ludzkiego jego stosowania. Ale ponieważ więzienia-katorgi zależą od głównego zarządu więziennego, podległego ministrowi sprawiedliwości, więc rozstrzygnięcie tej sprawy nie zależy od prezesa rady ministrów, lecz od Szczegłowitowa. Co zaś do generał-gubernatora zabajkalskiego, Kiaszki, który najbardziej nalega na stosowanie surowych przepisów do katorżników politycznych — to on podlega ministrowi wojny, od którego zależy mianowanie innego zarządcy na jego miejsce.

Irkucki generał-gubernator Kniaziew, który starał się o pomoc materialną, rządową dla skazańców, osiedlanych w dalekich miejscowościach Syberji, stara się teraz w Petersburgu o złagodzenie przepisów więziennych dla katorżników politycznych, stawiając nawet sprawę — jak dalej donosi „Russk. Słowo“ w sposób kategoryczny. Oto w razie pozostawienia generał-gubernatora zabajkalskiego na jego stanowisku i w razie dalszego stosowania kar cielesnych względem katorżników politycznych, generał-gubernator Kniaziew grozi swoją dymisją.

Według dalszych informacji „R. Słowo“, minister wojny nie zgodził się na zmianę generał-gubernatora Kiaszki na inną osobistość na stanowisku generał-gubernatora zabajkalskiego. Również minister Szczegłowitow uznał za nieodpowiednie złagodzenie przepisów więziennych dla katorżników politycznych i nalega na całkowite zrównanie katorżników politycznych z kryminalnymi.

Generał-gubernator Kniaziew, według informacji „Russk. Sł.“, zamierza wobec tego podać się do dymisji.

▷○○○○○○○○◁

KRONIKA.

= Tajne szkoły.

Na zasadzie protokołu policji, która wykryła przed miesiącem w Lachowiczach (pow. słucki) „tajną szkołkę polską“, gubernator miński skazał administracyjnie: Annę Pobieżeńską na 200 rubli kary lub dwa miesiące aresztu, matkę jej na 3 tygodnie aresztu za danie mieszkania na „szkołę“ i 10 osób z miasteczka każdą na 50 rub. lub dwa tygodnie aresztu za posyłanie do tej „szkoły“ dzieci swoich. W liczbie tych 10-ciu są trzy ubogie kobiety wdowy i 70-letni schorowany i ubogi starzec Maciej Sokołowski. W dniu 16 b. m. wszystkie powyższe osoby aresztowano i wysłano etapem do Klecka, a stamtąd do Słucka, gdzie odsiadywać będą karę.

= Interwencja rządu.

Dzienniki petersburskie donoszą, jakoby ministerjum spraw wewnętrznych postanowiło zwrócić uwagę na stosunki polsko-żydowskie w Królestwie Polskiem. Ministerjum podobno zwróciło się do generał-gubernatora warszawskiego z zapytaniem, jaki jest wpływ działaczy polskich na te stosunki. Jednocześnie dzienniki te notują pogłoskę, jakoby ministerjum zamierzało przedsięwziąć kroki w celu uregulowania stosunków polsko-żydowskich i udaremnienia bojkotu.

W taki sposób ministerjum zamierza przeprowadzić swą regulację stosunków polsko-żydowskich w Królestwie — na razie niewiadomo.

= Zerwanie solidarności.

Czytamy w „Dzienniku Poznańskim“: „W parlamencie niemieckim przy głosowaniu imiennem nad wnioskiem posła Ablassa, żądającym, aby od 1 kwietnia 1913 roku rada związkowa upoważniona była do całkowitego lub częściowego zniesienia cel ochronnych na bydło i mięso — została zerwana solidarność Koła Polskiego. § 9 statutu powiada, że wbrew uchwale Koła nie wolno żadnemu posłowi głosu oddawać.

Z poważnych powodów wolno mu się jedynie wstrzymać od głosowania w ten sposób tylko, że opuszcza salę, za osobnem oświadczeniem poprzedniemu prezydium Koła Polskiego. Według liczenia urzędowego posłowie Czarliński i Nowicki oddali niebieskie kartki (wstrzymali się od głosowania), Sosiński zaś głosował pozytywnie za wnioskiem Ablassa, gdy tymczasem Koło Polskie uchwaliło głosować przeciw temu wnioskowi. W Kole panuje wskutek tego postępowania owych 3 posłów ogromne wzburzenie, które prawdopodobnie będzie miało poważne następstwa.

Tyle „Dziennik Poznański“. Wydarzenie to dowodzi raz jeszcze, do jakich niepożądanych wyników prowadzi zasada bezwzględnej solidarności Koła. Trudno przecież wymagać, aby posłowie, wybrani głosami robotników i wogóle ludności miejskiej głosowali za cłem na mięso, czyli za drożyzną — i tak nadmierną — artykułów żywności.

= Statystyka pism periodycznych.

Opuściło prasę drugie wydanie książki Wolfsona p. t. „Gazietnyj Mir“, zawierającej ciekawe dane statystyczne o pismach periodycznych w państwie rosyjskiem. W 246 miastach w 1912 r. wychodziło 2.107 wydawnictw periodycznych. Pierwsze miejsce co do liczby wydawnictw zajmuje Petersburg, gdzie wychodzi 531 wydawnictw, czyli 24,5 proc. wszystkich wydawnictw w Rosji. Następnie idzie Moskwa (208 wydawnictw), Warszawa (204), Kijów (69), Ryga (59), Odessa (58), Tyflis (44), Wilno (41), Charków (39), Rewel (28), Kazań (23), Saratów (21), Dorpat (20), Jekaterynosław i Łódź (po 19) itd.

W języku rosyjskim ukazało się wydawnictw periodycznych 1585, czyli 73,1 proc. Stosunkowo pokazne miejsce zajmują wydawnictwa w języku polskim, których wyszło 234, czyli 10,8 proc. W języku niemieckim ukazało się 9 wydawnictw, w łotewskim — 47, w estońskim — 43, w żydowskim (żargon i hebrajski) — 31, w ormiańskim — 21, w litewskim — 20 (0,92 proc.), gruzińskim — 13, ukraińskim — 12, tatarskim — 11. W innych językach wychodziło wydawnictw najwyżej 1—2.

= Zjazd lekarzy i przyrodników.

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich odbędzie się we Lwowie w lipcu 1914 r. Na prezesa i wice-prezesa wydziału gospodarczego Zjazdu zaprosiła stała delegacja zjazdów prof. dr. Jurasza i prof. dr. Twardowskiego ze Lwowa.

= Międzynarodowy „Dzień kobiecy“.

Międzynarodowe biuro socjalistyczne uchwaliło dzień 23 lutego n. st. ogłosić, jako „Międzynarodowy Dzień Kobiecy“, a to w celu agitacji na rzecz praw politycznych kobiet i wzmocnienia kobiet w organizacjach robotniczych.

Rosyjskie organizacje robotnicze postanowiły wziąć udział w obchodzie „Dnia Kobiecego“, urządzając tego dnia zebrania związków zawodowych, referaty, zgromadzenia robotnicze, oraz wydając specjalne numery pism, poświęcone oświeceniu kwestji kobiecej, zwłaszcza w dziedzinie stosunków robotniczych. Jednocześnie ma być zarządzona tego dnia ankieta wśród robotnic po fabrykach i warsztatach. Rezultaty ankiety będą opublikowane w pismach.

= Reforma wyborcza w Holandji.

Rząd Holenderski przedstawił parlamentowi nowy projekt prawa wyborczego. Na mocy tego projektu, prawo głosu

ma każdy obywatel, który ukończył 25 lat życia, jest ojcem rodziny albo samodzielnie zarabia na swoje utrzymanie. Wyłączeni od praw wyborczych są żebracy i pobierający wsparcie z funduszy publicznych.

= Rozdział kościoła i państwa.

Izba gmin przyjęła w trzecim czytaniu projekt rozdziału kościoła i państwa w Walji 347 głosami przeciwko 240.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu Z. T. Zamieścimy.

Ciekawemu. Istotnie powinno być „wodór“. „Wodorod“ — szpetny rusycyzm. Kto jest tłumaczem telegramów w „Kurierze Litewskim“ — nie wiemy.

Pani Z. Wasilewskiej. Pseudonim. Adresu nie znamy.

Treść numeru.

Skromne żądanie. — Novus.

O „Kulturę Polską“. — Poseł czynu.

Ideja spółdzielcza. — J. Hempel.

Rajmund Poincaré. — St. Posner.

Syndykalizm niemiecki. — R. Dołęga.

Wiosna. — E. Słoński.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.

Przeгляд piśmienniczy. — E. Czekalski.

Prasa polska.

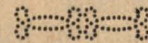
Na Widnokregu.

Położenie katorżników politycznych.

Kronika.

Odcinek: „Z wędrówek mimowolnego turysty“ —

Estede.



„KRYTYKA“ Kraków, ul. Staszica 5

miesięcznik poświęcony sprawom polityczno-społecznym i literacko-artystycznym, wychodzi rok XIV w Krakowie. Programem „Krytyki“: niezawisłość i twórczość narodu i jednostki. Ideom tym daje wyraz w artykułach zarówno filozoficznych, jak i politycznych, wytwarzając jednolity pogląd na świat i drogę, do czynu. W polityce „Krytyka“, nie będąc organem żadnej partji, służy sprawie niezawisłości bez kompromisów.

W każdym numerze „KRYTYKI“: charakterystyka kierunków i nowości literackich, artykuł o wybitnym artyście-plastyku, „przeгляд filozoficzny“ (K. Bleszyńskiego), sprawozdania ze scen i wystaw, rzecz o szkole i wychowaniu (K. T. Brońca) — i Dodatek artystyczny w formie reprodukcji dwóch wybitnych dzieł malarskich lub rzeźbiarskich.

Rocznie daje „Krytyka“ 4 tomy lektury i dwadzieścia kilka reprodukcji artystycznych.


Prenumeratę (10 rb. rocz., 5 rb. półrocz.) najlepiej przysyłać na adres wydawnictwa: **KRAKÓW, ul. Staszica 5.**

Księgarnia E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł) w Warszawie

POLECA PRACE

STANISŁAWA POSNERA

Ludwik Gumplowicz

Zarys Żywotu i Pracy.  Cena rb. 1.20.

oraz PIETRO ORSI (profesor w Padwie i deputowany do parlamentu)

Włochy Nowoczesne

(Dzieje walki narodu włoskiego o niepodległość narodową).

Przełożył z III wydania włoskiego i uzupełnił STANISŁAW POSNER.

CENA rb. 3.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY-LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, просп. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzenie gospod. leśnych

oraz innych robót w zakresie leśnictwa wchodzących.
Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Pozostające pod zarządem Ministerjum handlu i przemysłu

Kursy buchalterji N. J. i A. J. MOCHOWÓW

DLA OSÓB PŁCI OBOJGA.

WILNO, Ś-to JERSKA 44.

Podania są przyjmowane. Wykłady zostaną rozpoczęte d. 1 lutego. Opłata wynosi 100 rubli. Na kursach będą wykładane: buchalterja, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa, prawoznawstwo, języki cudzoziemskie i arytmetyka ogólna. **PROGRAMY BEZPŁATNIE.**

Kancelarja otwarta od 10-tej do 4-ej po poł.

Do nabycia książka, poleconą przez Kom. Nauk. Min. Handlu i Przem.

N. MOCHOWA

Buchalterja -- kurs młodszy teoria i praktyka.
Cena 1 rb. 50 k.

WAŻNE DLA GOSPODARZY ZIEMSKICH!

„Weterynarz gospodarski“

(WYDAWNICTWA ROK II)

Miesięcznik poświęcony sprawom praktycznego leczenia, hodowli, żywienia i pielęgnowania zwierząt domowych.

Cena prenumeraty rb. 2 k. 50, rocznie wraz z przesyłką pocztową.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI:

WŁOCLAWEK, Warszawska gub., Brzeska № 4, Księgarnia Powszechna.